

Od autora: Przypisy nie wynikają bynajmniej z braku wiary w czytelnika, po prostu mają usprawnić, przyspieszyć niejako czytanie. W końcu to "literatura popularna".

Kolejne części co tydzień.

1

5 sierpnia 2014, godzina 16.30

Grunt to zaakceptować rzeczywistość. Nie ma co kłócić się z faktami.

Nie pamiętam, w jaki sposób trafiłem na cmentarz. Ciężko również powiedzieć, kiedy dokładnie zdałem sobie sprawę, że jestem martwy. Ostatnia ewokacja, którą wyświetla projektor wewnątrz mojej głowy, pachnie taniną i zielenieje chlorofilem. (No co? Zawsze lubiłem metafory. Kiedyś chciałem iść na polonistykę). Zapach i kolor – trwałe wspomnienia. Reszta to urywki.

Zgrzyt liny holowniczej. Skrzypienie gałęzi. Język wychodzący na wierzch, ulatniająca się świadomość. Gwiazdy. Ciemno. Szum liści, charczenie. Ciemniej.

Dotykam szyi. No tak – gruba, łatwo wyczuwalna szrama. Choliwcia. Muszę paskudnie wyglądać.

W powietrzu woń cmentarza. Nie, nie chodzi o dym ze zniczy albo perfumy używane przez masę ludzką, która co niedzielę przetacza się między grobami. Czysty, surowy zapach śmierci i niepamiętania. Ta część cmentarza, to obszar zdominowany przez stare mogiły. Siedemdziesiąty, sześćdziesiąty rok... Mało kto tu zagląda. Wszędzie pusto. I całe szczęście, bo ostatnią rzeczą, której mógłbym pragnąć, jest kontakt z przechodniami. „Patrzcie, jaki dziwny facet. Jejku, a co on ma na szyi? I czemu jest taki blady?”

Dobra. Koniec pieprzenia, czas zrobić rozeznanie w sytuacji.

Jak trafiłem na cmentarz? Czyżbym wyszedł z grobu? O, przypomniała mi się „Misery”. Pamiętacie? Tam też ktoś wygrzebywał się spod ziemi. Tytułowa bohaterka, żona pisarza. Pochowali ją żywcem, po tym, jak miała wypadek, spowodowany przez szaloną fankę męża. Coś pokręciłem?

Skup się, Marcin. Sprawa jest poważna. Grunt to zrozumieć rzeczywistość.

Moje ręce, nogi – czyste. Znaczą się, bez śladów ziemi. Paznokcie? Całe. W sensie: niepołamane od drapania w trumnę. Czyli opcja „pogrzebali go i uciekli” odpada.

A może, zamiast emigrować z miejsca wiecznego spoczynku, wyszedłem z kaplicy? Raczej nie. Raczej spostrzegliby już brak umarlaka i... nie wiem... zaczęli szukać, tak? Zresztą co ja wymyślam. Gdyby w ogóle ułożyli mnie w trumnie, nosiłbym teraz elegancki garnitur zamiast podartej piżamy.

Okej. Więc skąd wziąłem na cmentarzu? Hmm... Tylko jedna opcja brzmi prawdopodobnie. Po prostu przyszedłem, intuicyjnie, jeszcze zanim odzyskałem świadomość. Instynkt uznał, że dla mnie, jako dla bytu martwego, cmentarz jest najodpowiedniejszym miejscem.

Bum!

Co się dzieje?!

Bum!

Cholera jasna, strzelanina! O kurczę, kurczę. Biodra jak z zaschniętej gliny, kolana niczym te z mosiądzu. Sztynny koleś ze mnie; rasowy umarlak. Ech, zaraz upadnę. Muszę się schować. O, już, już prawie...

Bum!

Hop za nagrobek. Wysoka, półowalna płyta – kucam, przywieram plecami do marmuru.

Bum! Bum! Bum!

Kuźwa, no. Polowanie na umarlaków sobie urządzili. A może to ta słynna apokalipsa zombie? Tylko jestem po niewłaściwej stronie.

Kra, kra, kra.

Ale niby co mi zrobią? Zastrzelą?

Kra, kra, kra.

Stada wron, kawek czy innego ustrojstwa przelatują między drzewami. Zaraz...

Wychylam się zza pomnika. Bum! W oddali ledwie widoczna sylwetka człowieka z gnatem. Strzela w niebo. No tak! Ptactwo, które osiedliło się w okolicy, ma paskudny zwyczaj srania na nagrobki. Dlatego trzeba je płoszyć. Ptaki, znaczy się. Najlepiej bronią hukową.

Alem się wystraszył. Odruchowo uznałem, że jeśli strzelają, to do mnie. (Za dużo „The Walking Dead”). Czuję silny strach o życie – nawyk z dawnych czasów – a przecież nie można mnie zabić. Jestem martwy. Całkowicie i definitywnie. Bez sensu klócić się z faktami.

Tylko że... skoro jestem martwy, dlaczego nie zaznałem spokoju po śmierci?

Słyszałem wiele historii o zmarłych, którzy nie mogli odejść. Coś ich trzymało na ziemi. Sprawy niedokończone. Przeznaczenie. Powinności. Widocznie czegoś nie zdążyłem...

O cholerka. Już wiem. Chodzi o moją rodzinę.

Przysiadam na trawie, opieram głowę o płytę nagrobną. U podstawy pomnika rośnie mech. Jakies dwa metry głębiej, w drewnianej skrzyni, leży sobie parę kości plus szczątki ubrania. Kim byłeś, przyjacielu? Sądząc po nagrobku, przede wszystkim byłeś zamożny. Pewnie ważna osobistość. Urzędnik państwowy. Dyrektor pegieeru. Partyjniak. Pogrzeb – tłumy na cmentarzu. Znajomi, współpracownicy... no i rodzina. Kochająca, oddana rodzina. Pochowali cię godnie, później odwiedzali, do czasu, aż sami umarli albo wyjechali. Miałeś szczęście, przyjacielu. Nie to, co ja.

Pod koniec życia zaniedbałem bliskich. Nawet nie zastanawiałem się, co się z nimi stało. Może właśnie

teraz cierpią i oczekują pomocy?

Muszę znaleźć rodzinę. Dopóki tego nie zrobię, będę uwięziony w gnijącym ciele. Tak wygląda rzeczywistość.

Dwa tygodnie wcześniej

Są trzy rodzaje bezsenności. Pierwszy: próbujesz zasnąć, ale nie możesz, mimo że bardzo chcesz móc, jakbyś brnął w stronę mo(r)za. Drugi: łatwo zasypiasz, jeszcze łatwiej się budzisz. Czyli w kratkę, niczym forma Mili w zielonym. Trzeci: zasypiasz i smacznie chrapiesz, ale... no właśnie. Według prawa Murphy'ego, jeśli natarcie posuwa się bez przeszkód, to znaczy, że wpadasz w pułapkę. Chciałbyś przejść osiem mil, stajesz na piątej. Potem mózg zaczyna wiercić się i hałasować. Nie zrobisz ani kroku więcej.¹

Była czwarta trzydzieści, gdy Marcin trzasnął drzwiami opla i potruchał wzdłuż łąki. Nad polem rzepaku wisiały zarumienione chmury. Słońce przebijało się przez las. Po obwodnicy człapały dwa traktory, przed nimi dostawczak z napisem „UNLIKE PIE” wyprzedzał tira marki MAN. Miasto jeszcze spało, ale zewsząd docierały już pierwsze, nieśmiałe odgłosy dnia roboczego.

Marcin przyspieszył. Ostatnio polepszyła mu się kondycja. E tam, „polepszyła”. Szarpnęła w górę, osiągając niemal taki poziom, jaki Marcin prezentował w szkole policyjnej. Szokująco niewiarygodne, biorąc pod uwagę, że zaczął biegać ledwie miesiąc temu.

Problemy ze snem pojawiły się oczywiście wcześniej. Początkowo Marcin mniemał, że są one reakcją organizmu na zmianę trybu życia, na chodzenie spać o stałej porze, i że ustąpią raz-dwa. Co do diagnozy przyczyn, miał chyba rację. Jednak, wbrew przewidywaniom, dolegliwość nie zamierzała odpuszczać.

Wiatr łaskotał policzki, kroki szeleściły na żwirze. Do bolących czworogłowych dołączyły ściśnięte płuca oraz suchy przelyk. Niewiarygodnie szokujące, ile przyjemności może dać człowiekowi brak tlenu.

Marcin odkręcił butelkę, którą trzymał w dłoni, i pociągnął łyk wody. Mały, żeby nie dostać kolki. Wytarł czoło rękawem. Wtedy ją zobaczył.

Miała jakieś dwadzieścia lat, blond włosy i bawełniany dres. I air maxy, zakurzone, podobnie jak nogawki spodni. Dawno nie padało.

Minęli się przy głazie, za eką lasu. Skupiony wzrok dziewczyny kazał Marcinowi stwierdzić, że dostrzegła coś niezwykle ciekawego na końcu ścieżki. Ostatecznie również udał, że patrzy przed siebie. Pobiegli w przeciwną stronę. A nie... Wróć. Nie tym razem.

Zazwyczaj podejmujemy decyzje świadomie, jednak zdarza się, że jakiś czyn zostaje zainicjowany po drugiej stronie jaźni, a impuls jest na tyle silny, by rozesłać do neuronów sygnał elektryczny. Innymi słowy – czasem działamy intuicyjnie. Tak jak Marcin tego ranka.

Zawrócił i dogonił dziewczynę. Ta, nie zwalniając, oderwała spojrzenie od ultraważnego punktu na linii horyzontu.

– Hej – odezwał się Marcin.

Na twarzy nieznajomej błysnął uśmiech, w śladowej ilości co prawda, ale wystarczyło, by odsłonić lekko kotarę powagi.

– Euforia?

– Co?!

– Takie perfumy.

– A... – Karnisz zazgrzytał, żabki pękły i cała kotara runęła na ziemię. – Heh, nie zrozumiałam, o co panu chodzi. Tak, Calvin Klein Euphoria. Skąd pan wie?

– Moja... – Żona. – ...siostra... – Używa takich. – ...prowadzi sklep z... drogerię, znaczy się.

– Aha.

– Proszę wybaczyć, po prostu zaciekawiło mnie, jaki jest sens perfumowania się przed bieganiem.

– Kurczę... No nie wiem. Może mam nałóg używania kosmetyków?

Czy woda perfumowana to kosmetyki? Marcin nie zdążył zapytać, bo dziewczyna dodała:

– Ale uprawiam sport bez makijażu, więc chyba jeszcze nie jest ze mną najgorzej.

– Och, z pewnością nie. Na siłowni widywałem laski wytapetowane bardziej niż... – Moja żona. – ...statystyczna kobieta na balu sylwestrowym. – Odetchnął głęboko, próbując nie sapać jak Urban u Gozdyry. Może i miał dobrą kondycję, ale z młodą sportsmenką równać się nie mógł. – A tak na serio, to chciałem jakoś zagadać. Wie pani, biegamy tu codziennie, o tej samej, dziwnej porze, więc... Marcin.

– Justyna.

Podali sobie dłoń.

– No, rzeczywiście pora nietypowa. Później jest za gorąco, żeby biegać. Popołudniu mam pracę, a wieczorem zawsze coś wypadnie... Dlatego biegam nad ranem. – Śmieszek. – A ty? Brak czasu w ciągu dnia?

– Właściwie odwrotnie. Biegam, żeby zrobić coś z czasem. Nie mogę spać.

– O! To jak mój znajomy. Kiepska sprawa. Jego nawet tabletki nasenne nie ruszają.

– Akurat zasypianie idzie mi bez problemu. Tylko budzę się za wcześnie. O czwartej. Dzień w dzień. Nie potrafię spać dłużej niż pięć godzin.

Skinęła głową.

– I zamiast leżeć beczynn timer w łóżku, wolisz pobiegać.

– Dokładnie. Grunt to nie marnować czasu.

– O nie! – szturchnęła go w ramię. – Mówisz jak mój szef!

– Szef?

– No! Ciągłe się czepia, że siedzę beczynn timer, że się obijam... A co mam robić, kiedy nie ma klientów?! A on: „Może byś tak w kuchni pozamiatała, obrusy wyprała, do sklepu skoczyła”... Ta, może przy okazji umyję szefowi samochód, a potem przekopię ogródek? Byleby nie marnować czasu.

– Pracujesz w restauracji?

Justyna parsknęła.

– Nie wiem, czy tę budę można nazwać restauracją.

– Oho, ktoś tu nie znosi swojej pracy.

– Nie, no... lubię gotować, dlatego generalnie jestem zadowolona. – Odgoniła meszki, które nie dość, że postanowiły towarzyszyć jej w biegu, to jeszcze natarczywie muskały buźkę. – Ale to żadna „restauracja”. Taka mała knajpka norweska. A właściciel jest palantem i tyle.

– Knajpka norweska? – Marcin z coraz większym trudem łapał powietrze. Ale co, miał poprosić nową znajomą, żeby zwolniła? Hmm... Serio? – Nigdy nie byłem w knajpce norweskiej. Co wy tam serwujecie? Pewnie ryby?

– Ryby przede wszystkim, ale nie tylko.

– A co jeszcze? Czekaj, niech zgadnę: ryby. Oprócz tego ryby, no i jeszcze ryby.

– Trafiłeś – uśmiechnęła się. – Ale na tym nie koniec, bo mamy też... uwaga, teraz cię zaskoczę... mamy też ryby!

– Niemożliwe! Naprawdę?! Eee, w takim razie muszę kiedyś do was wpaść.

– Koniecznie. Polecam smażonego łososia. Świeżutki. Rozmrażamy tuż przed wrzuceniem na patelnię. A już całkiem na poważnie, norweska kuchnia wcale nie jest monotematyczna. Potrawy mięsne, knedle, naleśniki... albo sveler, takie placki podobne do naleśników, tylko...

– Tylko że z ryby.

Pokręciła głową.

– ...tylko bardziej puszyste. Ogólnie same pyszności. – Wetknęła za ucho kosmyk, który wy dostał się spod spinki. – A ty? Gdzie pracujesz?

– W policji.

Marcin poczuł na sobie wzrok dziewczyny.

– O...

– W wydziale kryminalnym.

– Ooo... Więc ścigasz groźnych przestępców?

– Zdarza mi się.

– To musi być cholernie ciężka robota.

– I tak, i nie. Zależy. Głównie pracuję za biurkiem. Ale „generalnie jestem zadowolony”.

Niebawem dobiegli do samochodu Marcina. Odpoczywając, gadali o jakichś pierdołach.

Większość tego, co sobie mówimy, to rzeczy kompletnie nieistotne. Rozmawiamy na tematy pozbawione znaczenia, by zaraz później wyrzucić treść tychże rozmów z głowy, o ile oczywiście cokolwiek zapamiętamy. Grunt, by nie marnować czasu, prawda?

Marcin zerknął na zegarek.

– Jutro też biegasz? – zapytał.

– Jasne.

– Okej. Zatem do jutra.

– Hejka.

Pomachała mu, zrobiła dwa kroki w tył i zaczęła się odwracać, kiedy Marcin zawołał:

– Ej... Czekać chwilę.

Podszedł bliżej.

– Co robisz wieczorem?

– Wieczorem? – Zmrużyła oczy. – Idę do koleżanki.

– Aha. W porządku. No to...

– A nie, zaraz. Ona dzisiaj jedzie do rodziny.

– Czyli...

– Czyli jestem wolna.

Marcin pomyślał, że gadanie dla samego gadania bywa bardzo dobrze wykorzystanym czasem.

Kwadrans później, gdy jechał budzącą się leniwie Aleją Wyzwolenia, przypomniał sobie jedną z wielu nocy spędzonych w barze Włodka, starego kolegi. W swoim „gorszym momencie życia” Marcin odwiedził chyba wszystkie knajpy miasta, jednak tylko u Włodka czuł się naprawdę dobrze. Tamtej nocy, gdy towarzysze od butli niespodziewanie szybko czmychnęli w chatę, do Marcina przysiadła się bardzo miła i jeszcze bardziej wstawiona kobieta, o sympatycznej aparycji i jeszcze sympatyczniejszych kształtach. Spędzili wspólnie dwie godziny, następnie nowa znajoma powiedziała, że mieszka niedaleko i zaprasza do siebie. Odpowiedzią była chwila milczenia i krótkie „przepraszam”. Marcin zniknął nagle jak Frederick Valentich.

Nawet w „gorszym momencie życia” pozostawał wierny żonie. Znał Agnieszkę od podstawówki, ich przyjaźń przetoczyła się przez osiem klas, później – trudno określić, kiedy dokładnie – wyewoluowała do postaci związku, przypieczętowanego po latach małżeństwem. Niedawno świętowali osiemnastą rocznicę. „Drugi raz wkraczamy w pełnoletniość” – żartowała Agnieszka.

Skręcił i zatrzymał się przed pasami. Obserwując staruszkę z jamnikiem (tacy to lubią wcześniej wstawać), rozmyślał, dokąd wieczorem zabierze Justynę.

Staruszek podziękował gestem ręki. Słońce odbijało się w lusterku, gdzieś daleko wyła syrena. Marcin jechał do domu, jak co dzień przed szóstą rano. Tym razem bogatszy o jeden numer telefonu.

5 sierpnia 2014, godzina 17.50

Jako dzieci słyszymy od rodziców i wychowawców, że na cmentarzu winno się zachowywać należytą powagę oraz szacunek dla zmarłych. Z tych pouczeń niektóre osoby zapamiętują tylko „winno”, w dodatku gubią gdzieś drugie „n”. Ale puste butelki w cmentarnym śmietniku to jeszcze nic. Trochę głębiej leży para adidasów. (Wam też się skojarzyło ze stosami butów w obozie zagłady?) A na samym wierzchu – puszka po tuńczyku. Ludzie! Kto normalny wpieprza tuńczyka nad grobami?!

W obliczu tychże znalezisk, szprycha od roweru, którą przed chwilą wygrzebałem z kontenera, przestaje aż tak bardzo dziwić.

Za kontenerem rosną krzewy. Idę tam, ze szprychą w dłoni. Siadam na kamieniu. Oto przykład pozytywnych stron bycia umarlakiem: nie muszę się przejmować, że dostanę wilka. Ale, powiem wam szczerze, negatywów jest więcej niż pozytywów. Nadgniła skóra, przypominająca w dotyku zepsute jabłko, smród rozkładającego się ciała; przede wszystkim robale, biegające w brzuchu. Skurczybyki wyjadają narządy wewnętrzne. Chwila... Może pójdą w górę, wzdłuż przełyku, a następnie do głowy, gdzie zeżrą mózg i tym samym pozbawią mnie świadomości? I wtedy „spoczywaj w pokoju, Marcinie”. Taa, jasne. Biorąc pod uwagę długotrwały brak pulsu i niedotlenienie, mózg nie może być aktywny. A zatem świadomość nie należy do ontologicznych elementów ciała. Jest tylko uwięziona w moich cholernych zwłokach.

Martwość to kiepska sprawa, mówię wam. Nawet pomijając wcześniejsze argumenty, zostaje kwestia ogólnego wrażenia. Co byście zrobili, spotykając zombiaka? No właśnie. Dlatego muszę poczekać, aż się

ściemni i ruch zelżeje. Wtedy wyruszę do domu. Nie chcę po drodze wzbudzać ogólnego zainteresowania.

Bicie dzwonów w kościele, szum ulicy, rozmowy opodal cmentarnego krzyża. Między tymi dźwiękami ja, schowany i wpatrujący się w szprychę. Cieniutka – milimetr albo dwa średnicy – i długa. Przebiłaby człowieka na wylot.

Noc już niedługo.

Tydzień wcześniej

W wiadomościach mówili, że w chińskich McDonaldach nie ma burgerów, a potem, że Tusk uszkodził sobie lewy bark, robiąc pompki.

„Uprawia sport jeszcze gorzej, niż rządzi” – pomyślał Marcin, lecz zaraz przypomniał sobie bolące od kilku dni kolano. Cóż, każdy biegacz ma jakąś kontuzję. A jeśli nie ma, to albo dopiero co się wyleczył, albo jest tuż przed urazem.

– Dasz wiarę? – powiedziała Agnieszka, wchodząc do salonu. – W tych „plastrach z łososia” dziewięćdziesiąt procent składu stanowi wieprzowina...

Podawała mężowi talerz.

– Smacznego.

Marcin obrzucił Agnieszkę spojrzeniem, potem przyjrzał się kanapkom. Chleb okrojony ze skórki, kromki przecięte na pół. Wrócił wzrokiem do żony.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Uśmiechnęła się.

– Ale co, miśku?

– To – Marcin poruszył talerzem.

– Nie rozumiem. Kanapki dokładnie takie, jak lubisz. Nawet masłem posmarowałam leciutko, bo zawsze krzyczysz, że za tłuste.

– Masłem? – Potrząsnął głową. – Kochanie, ja nie mówię o żadnym maśle.

– A o czym?

– Cholera jasna! Nigdy w życiu nie pozwoliłaś mi jeść poza kuchnią! Nawet jak chciałem chrupki do pi-

wa, to „nie, bo nakruszysz”. A Weronice i jej kumpeli raz zabrałaś pizzę, tylko dlatego, że jadły w pokoju. Przecież ty masz obsesję na punkcie pieprzonego „kruszenia”. A teraz sama przynosisz mi kanapki przed telewizor?

– Ech... Ja to z tobą mam. Co by nie zrobić, i tak niezadowolony.

Wyszła do kuchni, po chwili wróciła z herbatą.

– Nie powiesz mi, żebym pił ostrożnie? W końcu taka niezdara ze mnie, mogę się oblać i poparzyć. Albo, co gorsza, popłamić wykładzinę.

– Czy kiedykolwiek nazwałam cię niezdara?

– Racja, zazwyczaj używasz innego słowa: „fajtłapa”, ale tak go nienawidzę, że ledwo przechodzi mi przez gardło. Faj-tła-pa. Okropne zestawienie sylab.

– Oj, przestań. Jesteś sprawnym, zręcznym facetem, miśku.

– Słucham? – wybałuszył oczy. – Nie wierzę. Moja żona właśnie obdarzyła mnie komplementem! Chyba że nie wyczułem ironii...

Wyszła, uśmiechnięta i mamrocząca coś niewyraźnie.

Kanapki z pseudołososiem okazały się wyjątkowo smaczne.

W wiadomościach mówili, że na wschodzie Ukrainy ciągle wrze, a rosyjscy żołnierze podszywają się pod separatystów.

Sankcje sektorowe wobec Rosji wejdą w życie, kiedy tylko zostaną oficjalnie zaakceptowane przez rządy państw członkowskich UE. Na naszej antenie profesor Davies tak komentował decyzję...

Po kolacji Agnieszka włożyła naczynia do zmywarki.

– Marcin! Chodź, wylejesz mi wodę.

Chodziło o wodę z poprzedniego mycia, zapelniającą w trzech czwartych wielkie wiadro.

Wylał do zlewu; żona tymczasem poszła na korytarz, wydymuchać nos.

Dziwnie smarkała. Cicho i delikatnie. Okej, może „delikatnie” to przesada, ale na pewno nie tak mocno, by siłę dmuchania liczyć w magnitudach. Nawet szklanki w kredensie nie zadrżały.

– No co? – Zgniotła chusteczkę. – Czemu się tak patrzysz?

– Jesteś przeziębiona?

– Taa, przeziębiona w środku lata... Alergia jakaś.

– Alergia? Nigdy nie byłeś na nic uczulona.

Agnieszka westchnęła.

– Marcin, daj mi spokój. I odsuń się, muszę włączyć zmywarkę.

Wrócił do salonu.

Noc będzie ciepła. Przewidywane gwałtowne burze, szczególnie w zachodniej Polsce. Jutro ciąg dalszy upalnej pogody. Prawie w całym kraju od rana słonecznie, na Pomorzu możliwe częściowe zachmurzenie, które jednak ustąpi w godzinach południowych. Temperatury od dwudziestu siedmiu...

Marcinowi zaczęły kleić się oczy. Ścięło go. Mrugając jak Antoine Lavoisier, uznał, że pora wziąć prysznic i spadać do łóżka.

Łazienkę zajmowała żona, więc przysiadł na regale z butami i czekał. W pokoju obok starsza córka tańczyła sobie do gównianej muzyki. Dryndnął telefon. Esemes. Justyna.

*Dobranoc, Marcin : ** Już w piątek się widzimy :)*

Dawniej Marcin uważał emotki za wynalazek jakiegoś idioty, podchwycony przez jeszcze większych idiotów i popularny wśród zaprogramowanego na idiotyzm społeczeństwa. Pu(c)knął się w czoło, gdy zaczął pisać z Justyną.²

Też nie mogę się doczekać. Dobrej nocy

Sam jednak emotikonów nie używał, bo niezbyt pasowały do dojrzałego faceta, a okres zachowywania się jak nastolatek miał już przecież za sobą.

Żona gulgotała w łazience. Dziwnie gulgotała. Przeciągle. Czynności takie jak mycie zębów, a tym bardziej wypłukiwanie buźki z pasty, zajmowały Agnieszcze mało czasu. Nie żeby lekceważyła higienę – chodzi raczej o żwawość i wrodzony pośpiech. Tym razem płukała długo jak zagłębnik.

W końcu Marcin doczekał się i wszedł pod prysznic. Zagrzmiało. Kiedyś – niecałe cztery miesiące wcześniej – piorun trzasnął w transformator, gdy Marcin akurat stał w kabinie. Biedak próbował wyjść po omacku, co skończyło się trzema szwami na potylicy. Szokująco niewiarygodne, że tylko trzema, biorąc pod uwagę absolutną ciemność w łazience, śliską podłogę oraz ilość szotów, które poszły w trakcie uprzedniego rejsu po barach.³

Tej nocy prąd wysiadł dopiero o dwunastej. Zgasły latarnie za oknem. Marcin przewrócił się na drugi bok, plecami do żony. Agnieszka chrapała. Dziwnie chrapała. Cicho.

Łosoś, który nie jest łososiem.

Błyskawica rozświetliła niebo.

Wstał.

– Nie rozumiem.

Agnieszka ocknęła się.

– Miśku? Co robisz?

– Nie rozumiem – powtórzył się jak ta błyskawica za oknem.

Ukraińscy separatyści, którzy nie są Ukraińcami.

– Skąd wiedziałś, jakie lubię kanapki?

– Słucham? – Agnieszka potarła napuchnięte oczy.

– Kanapki. Że nie cierpię skórek i masła. A, już wiem. Przypatrzyłaś się rano, jak szykowałem sobie śniadanie do pracy, he?

Grom huknął niczym P1A6⁴.

– A ty się dobrze czujesz? Osiemnaście lat jestem twoją żoną i miałabym nie wiedzieć, jakie jadasz kanapki?

– Nie, nie jesteś moją żoną.

– Ha! Chyba coś ci się przyśniło. No już, to był tylko...

– Nie jesteś moją żoną!

– A niby kim?!

Przełknął ślinę. Na dworze zaczęło lać.

– Sobowtórem. Podszywasz się pod Agnieszkę.

¹ Oczywiście odniesienie do filmów „W stronę morza”, „Zielona mila” (motyw więzienia – kratka; Sebastian Mila – piłkarz Lechii Gdańsk, wcześniej Śląska Wrocław – stroje obu drużyn mają zielone barwy) i „Ósma mila” (plus zbieżność nazwisk: Edward Murphy – Brittany Murphy).

² Za twórcę pierwszego emotikona uważa się Scotta Fahlmana - informatyka. Natomiast pomysł typograficznych emotikonów pojawił się wcześniej, w magazynie satyrycznym Puck.

³ Dwuznaczność słowa *szot* - jako zapis brzmieniowy wyrazu *shot* oraz nazwa rodzaju liny, używanej w żeglarstwie.

⁴ Granat hukowo-błyskowy używany przez Jednostkę Wojskową GROM.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Heisenberg, dodano 10.05.2015 18:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.